MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 25 WARSZAWA, 12 CZERWCA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

POLSKA — EUROPA — LUDZKOŚĆ

DĄŻENIEM „Myśli Narodowej" jest wytworzyć w umyśle współczesnego Polaka oświeconego taki stan świadomości dziejowej, któryby mu pozwolił bez rozterki wewnętrznej oddać się robocie, przez historję mu wyznaczonej. Polak współczesny był niedostatecznie do nowych zadań dziejowych przygotowany: 1) nie nauczyli go pracy twórczej ojcowie, bo byli w niewoli, 2) wytworzyły się spiski na jego ducha, aby praw życia samoistnego nie rozumiał.

Ten drugi moment jes bardzo ważny. Do chaosu stosunków w nowem państwie, które trzeba było organizować, dołączył się groźniejszy chaos w umyśle Polaka, co robić winien. Taki stan umysłu nie pozwala nic porządnego zrobić, jest zaprzeczeniem wszelkiej kultury, a nawet doprowadza do strasznych zwątpień, czy wogóle warto tworzyć swoje osobne dzieje. Wątpliwość ta leży w podstawie owych sztucznych prądów, któremi spisek międzynarodowy pragnie porwać naszą inteligencję, wysuwając hasło patrjotyzmu europejskiego wzamian za dawny staroświecki kult „zaścianka narodowego". Idejki takie potrafią głosić w Polsce przedstawiciele rządu; są jakieś fundusze, że powstają dla szerzenia ich dzienniki, tygodniki i miesięczniki; ślubują sobie to hasło zwyrodniali pseudoarystokraci, socjaliści, Żydzi i wszelkiego rodzaju niepomni rodu proletarjusze ducha. Jeszcze przed wojną Wyspiański w „Wyzwoleniu" przedstawił położenie inteligenta polskiego, tak szarpanego przez maski na rozdrożach myśli.

Wszystko to prawda: budżet musi być zrównoważony, złoty polski stabilizowany, ordynacja wyborcza do Sejmu i Konstytucja naprawiona. Ale na co to wszystko, jeśli większość sejmowa, jeśli wyłoniony z niej rząd, jeśli nawet minister spraw zagranicznych nie będą dobrze wiedzieli, co z powierzoną im Polską robić? Jak wyobrażamy sobie poniżej tego głównego pytania pracę polską na wszystkich polach, jeżeli kierownik tej pracy, Polak oświecony, będzie miał centra mózgowe zatrute i utraciwszy ster wewnętrzny, zachowywać się będzie jak obłąkany?

A więc przedewszystkiem ratujmy myśl swoją — to jest pierwszy obowiązek inteligencji.

Ratować się musi Polak oświecony od godnej pożałowania roli, iż staje się wychowańcem motłochu demokracji, która zgaduje drogi, gdy on, dziedzic cywilizacji polskiej, ma od natury drogę wskazaną. Ratować się musi od poniżenia, że nie śmie dziś całą piersią wyznawać Polski, jako swego obowiązku i jako swego j e d y n e g o tytułu do odgrywania roli światowej.

„Patrjoci europejscy" za punkt wyjścia biorą wyraz „Europa", a życie bierze—fakt. W Europie, jeśli o oddychanie jej atmosferą chodzi, rozmaite jes powietrze. U nas mówią: „Europa" ci, którzy się jeszcze boją powiedzieć wyraźnie: „Niemcy". W Europie są także Sowiety. Ale mniejsza z tem; w Europie jest przedewszystkiem Polska. To Polakowi powinno wystarczać tak, jak wystarcza Francja—Francuzom, Anglja—Anglikom, Niemcy—Niemcom it.p. Tylko parwenjusz werbalista bez kultury duchowej pozwala się oszustom czarować wyrazem Europa. A nic tak nie wyżera zmysłów, jak parwenjuszowska edukacja, dająca sztuczne horyzonty ponad realnem życiem. Jeśli to życie realne leży długo odłogiem bez udziału twórczego jednostek, to one się wyobcowują z niego, chętnie godząc się na rolę niewolników. Dzisiejsze niezadowolenie z Polski, to żal człowieka biernego życiowo po utraconej wygodzie niewoli. W niewoli za niego myślano o życiu; on trwał w kwietyzmie, poddając się cudzej cywilizacji, którą kto inny tworzył. Teraz życie żąda wysiłku własnego. To jest ponad siły niewolników i ponad ich wyobraźnię. Ktoś, coby we fraku mógł być z powodzeniem kelnerem w „Europie", musi w Polsce zakasywać rękawy i bory-

kać się z rzeczywistością własnej zaniedbanej cywilizacji I to go rozgorycza.

Tak nas chcą fałszywi prorocy wykierować, aby wszyscy inni w świecie pracowali, a nam żeby pozostała rola marzenia o prawie spożywania cudzych fruktów, choćby przy obsługiwaniu obcych. Zabito w nas, w niewolnikach, wyobraźnię tego rodzonego „państwa", jakie posiadamy na prawach panów. Zabito w naszej duszy obraz tych elementów, które dusza sprzęga w jedno wielkie ruchome życie swoiste: ziemia, naród, państwo. To nam historja ludzkości oddała jako tworzywo, abyśmy z tego zrobili cywilizację równą największym, abyśmy twórczością swoją świat zadziwiali i uszczęśliwiali.

W czasach niewoli wydawało się, że pozostała nam tylko ziemia i słońce nad ziemią. Zaledwie wybranym wyjaśniało się w myśli, że w tem przyrodzeniu żyje naród. Niejasne było marzenie o państwie, raczej z przysłowia, niż z realnego pojmowania. A już ćmiło się całkiem w wyobraźni pojęcie własnej cywilizacji, która dopiero z tego połączenia elementów wykwitać może. Wystarczało wielu, że zostaną cechy etnograficzne, zabytek starodawnej cywilizacji polskiej. Romantyzm coraz uporczywiej pracował w symbolach, garnąc tradycje dawnego życia, cechy tego życia, jakie pozostały w ludzie. Niewola zatarła obraz realny tego, co to jest cywilizacja, że to nie muzeum, lecz życie, w którem elementy ziemi i słońca, narodu i państwa, tradycji i wielkich ambicyj wpadają w ruch za popędem twórczego ducha i utrzymują się w jedni jako wielkie życie narodowe, swoisty przyrodzony twór, w którym przegląda się Bóg, jako w swojej najwyższej kreacji.

Podmiotem tego życia jest naród, realizujący swoją siłę w państwie i wespół z niem wykonywujący misję tworzenia narodowej cywilizacji. Ona jest najogólniejszą postacią życia narodowego, ogarniającą wszystkie możliwości wysiłku jednostki, zadawalającą najszczytniejsze jej ambicje. W tej tylko postaci możemy iść w ludzkość (w Europę) — w postaci cywilizacji polskiej.

Wszystkie kombinacje inne, jakiby użytek zrobić z jednostki i Polski dla świata, są likwidowaniem życia. Bezmózgie, w uprzejmości politycznej poczęte pomysły socjologiczne denacjonalizowania cywilizacji poczytywać można za wyraz manji wielkości polaczków, którym w atmosferze „lewicy" zdało się, że są już Żydami. Dziwne jest ambicjonowanie do roli pasorzyta ludzkości, do roli jemioły, gdy się jest drzewem. „Szczytna" rzecz być jemiołą, ale w życiu cenniejszy jest korzeń, ciągnący soki z własnej ziemi.

Przyśpieszany teraz w tempie, z obawy przed zbliżającem się z Włoch odrodzeniem idei narodowej, ruch propagandowy w celu odebrania cywilizacji kształtów narodowych jest chwilą sposobną, aby przypomnieć dziedzicom polskich tradycyj twórczych, co mają przed sobą do roboty. Na szerokiem rozpięciu geograficznem zaledwie zamarkowaliśmy fundamenty, nie zasnuliśmy jeszcze pracą obszarów, danych nam w misji dziejowej; utajone w zi mi, dźwigające się do słońca życie tęskni, abyśmy je wyzwolili z więzów przyrody do życia bujnego, a my wałęsamy się niezorganizowaną myślą po cudzych podwórkach, zarażając świat nudą. Nikt inny, jak Polacy, nie jest tak dobrze uposażony od natury i dziejów do wytworzenia w sobie samowiedzy twórczej. Tymczasem trwonimy te dary, jak dzikusy, za lada paciorki, przez Żydów rozwożone. Obdarzeni dobrze instynktami i intuicją, potrafimy swój oryginalny obraz życia własne o wymieniać na oleodruki „europejskie", podsuwane nam przez stragianiarzy politycznych.

Nie można w dziejach robić interesów politycznych, jeśli się zniszczy podstawy duchowe cywilizacji. Włochy dochodzą do polityki przez odrodzenie wewnętrzne, przez odbudowanie narodu i cywilizacji własnej. Marna będzie dla świata pociecha polityki sowieckiej, gdy zabiła naród i cywilizację. Sowiety pożyczają teraz siły kablem układów od Niemiec.

Polak nie może w swojem położeniu geograficznem zgadywać, co ma robić. Musi wiedzieć. Nasi pisarze polityczni i uczeni pytają swoich organizacyj międzynarodowych, co mają z Polską robić. Zabijając w sobie instynkt i zdrowy rozsądek, nie chcą się zgodzić na naród, jakby to był wymysł, nie fakt przyrodzony.

Nasz patrjotyzm, którym le chełpiliśmy się, teraz dopiero w wolnej Polsce zdaje egzamin. To nie ma być sentyment dla pejzażu, to nie ma być tylko obcowanie z duchami przodków, to nie tylko lojalność dla państwa; to ma być wezbranie woli twórczej ku posiadaniu wielkiej cywilizacji polskiej.

Tę myśl pragniemy widzieć w orędziu Prezydenta Rzeczypospolitej z d. 4 b. m. wzywającej Polaków „do skupienia żywych sił Narodu w pracy zbiorowej nad wywyższeniem imienia Polski". Wywyższyć Polskę może tylko jedno: jej cywilizacja samoistna. A ta wybujać zdolna tylko wtedy, gdy państwo, będące jej podstawą, rządzone będzie przez Naród, nie krępowany doktrynami lub celami, leżącemi poza nim.

Wolna, niepodległa twórczość Narodu, dokonywana w oparciu o tradycję a pociągana w przyszłość ambicjami dziejowemi, „zajaśnieje pełnią blasków szlachetności i mocy". Tylko wtedy Polska może stanąć „w pierwszym szeregu narodów", w każdym razie tylko wtedy może być mowa o współpracy jej z innemi ludami dla dobra „ludzkości". Bo wtedy wniesie do cywilizacji ogólnej swój oryginalny dorobek. Inaczej będzie parjasem, ciężarem ludów i zarazą.

O narodach powiedziano: czyń każdy w swoim kole, co każe Duch Boży, a całość sama się złoży. Kto zniepraw ia opinję ambicjami międzynarodowemi, kto mistyfikuje ludzkość narodem, a naród ludzkością, ten osłabia w narodzie poczucie indywidualnej odpowiedzialności. Od tego poczucia zawisło odrodzenie moralne.

ZYGMUNT WASILEWSKI

REWOLUCJA I DYKTATURA

SZEROKO rozprawia się w Warszawie o tem, czy mamy dyktaturę jawną, czy ulegalizowaną, czy faktyczną. Widzimy w każdym razie, że jesteśmy wytrąceni z kolei prawnej, kiedy granice władzy rządowej i praw obywatelskich były jako tako wiadome. Wiemy, że rewolucja w Polsce zaczęła się i nie dostrzegamy jej kresu. Zorjentujmy się przynajmniej, jakie były jej źródła i skąd dochodziła zachęta.

Od kilku miesięcy pojawiały się liczne znaki ostrzegające, w Polsce i gdzieindziej, które zapowiadały jej wybuch. Wówczas, w odpowiedzi na te alarmy mówiono i pisano, że Polska jest w trudnem położeniu wobec Niemiec, że poderwany jest jej kredyt finansowy, że tylko skuteczna naprawa skarbu i całego gospodarstwa narodowego może uratować Państwo od grożącej zguby. Było to opinją nie tylko prawicy, ale wszystkich dużych stronnictw polskich. Niewrażliwe na nią były tylko radykalne grupy chłopskie, które coraz wyraźniej skłaniały się do komunizmu a wogóle nie poczuwały się do odpowiedzialności za losy Państwa. Tymczasem w kraju nie stało już cierpliwości na usunięcie trudności, których nawet dyktatura i genjalna władza nie byłaby rozwiązała w ciągu kilku miesięcy.

Dopiero w połowie r. 1925 spostrzegliśmy się, że sławna „rozbudowa" Państwa była improwizacją zbyt śmiałą, przekraczającą w dwójnasób nasze środki finansowe, że ten rozmach w wydatkach popycha nas w ramiona niebezpiecznych wierzycieli i w konsekwencji może się odbić na niepodległości narodowej. Doniedawna wspominaliśmy tylko z uczuciem dumy siłę żywotną narodu, jego wzrost liczebny, dochodzący do 30 miljonów. Zauważyliśmy bardzo późno, że w Polsce przyrost ludzi jest szybszy niż dorobek i dopiero, gdy bezrobocie przybrało charakter groźnej klęski, zaczęliśmy porównywać stały przyrost ludzi i obecny ubytek warsztatów pracy i z niepokojem doszliśmy do wniosku, że bezrobocie nie jest kłopotem przejściowym, lecz objawem przeludnienia, które będzie zaostrzało się z każdym rokiem.

Wiadomo, że rodzina liczna i szybko wzrastająca nie jest uważana za nieszczęście w życiu prywatnem, ani tem mniej w narodowem. Włochy znajdują się w tej sytuacji od dłuższego czasu, która od wielu lat ciąży na finansach Państwa, ale tam przeludnienie kraju w ręku rozumnego rządu stało się źródłem potęgi. Naród polski sławny jest w świecie ze swego szybkiego wzrostu. Jest to główna podstawa naszej dzisiejszej pozycji politycznej i na przyszłość gwarancja niepodległości bardzo realna, ale zarazem najtrudniejsze zagadnienie naszej polityki ekonomicznej, wewnętrznej i zagranicznej. A że pomyślano bardzo późno o tem, żeby z przeludnienia uczynić efektywne bogactwo i siłę zdolną do rozmachu na zewnątrz, to nadmierne bogactwo dawało się we znaki jako ciężki kłopt wyżywienia ludności, a przetrwanie od jednego żniwa od drugiego stało się głównym problemem rządu.

Sytuacja stała się bardzo ciężka, gdy na Polsce zaczęło się odbijać nie tylko zubożenie powszechne Europy, ale gdy kapitał międzynarodowy postanowił wyzyskać naszą potrzebę kredytu i zmusić nas do kapitulacji na rzecz nowej polityki europejskiej, w której Polska upatrzona jest na kozła ofiarnego. Jakkolwiek już od roku odzywały się w kraju wołania, żeby zaciągnąć pożyczkę zagranicą za wszelką cenę, to Rząd i Sejm były wobec tych alarmów nieugięte; ani Władysław Grabski ani późniejszy Rząd sejmowy nie wdawały się nawet w rozmowę o pożyczce, za którą wypadałoby zapłacić kontrolą międzynarodową i poświęceniem niepodległości Państwa, a potem całością ziemi ojczystej. Tymczasem nie ustawały natarczywe wołania z wszystkich sfer, poszukujących kredytu, a pozycja Rządu wobec opinji stawała się coraz trudniejsza w miarę zainteresowania, które kapitał międzynarodowy nam okazywał, bo to zainteresowanie było jednakowo nieżyczliwe wobec każdego Rządu polskiego, który stał na straży niepodległości i całości Państwa.

Na początku r. 1926 stało się wiadome wszystkim interesowanym, że Polska nie uzyska kredytu w takiej sytuacji, w której jedyny ratunek będzie upatrywała w pożyczce zagranicznej i że z drugiej strony żaden Rząd sejmowy, ani obecnie, ani w przyszłości, nie zgodzi się na tranzakcję finansową, którаby dogadzała politycznym kombinacjom domniemanych ewierzycieli. A ponieważ Polska zajmuje obszary rozległo i tak ważne dla świata, że duże interesy wielkich mocarstw są związane z naszym losem, gra między Rządem polskim a kapitałem międzynarodowym przybierała charakter nie tylko nas interesujący. Stało się jawne, że albo Rząd sejmowy musi być obalony, albo druga strona przestanie interesować się Polską, lub zrezygnuje ze swego wygórowanego programu.

W tej chwili rozegrana jest pierwsza partja. Rząd sejmowy jest obalony, a partnerzy zagraniczni interesują się Polską więcej, niż kiedykolwiek.

Stosunek Polski do porozumienia wierzycieli nie jest oryginalny. To samo niebezpieczeństwo groziło Włochom, nad Francją zaś wisi ono do dnia dzisiejszego. Tam nie robi się tajemnicy z tego, że spółka bankierska korzysta z każdego terminu płatności, żeby wymusić na Francji ustępstwa polityczne i to nie za cenę nowych pożyczek, lecz za przedłużenie kredytów już zaciągniętych. W tym celu apeluje się do swej klijenteli w świecie finansowym i tą drogą wywiera się na rząd odpowiednią presję. Jeśli zwykłe środki perswazji nie dopisują, wywołuje się zwyżkę walut obcych i panikę w świecie kupieckim, która najczęściej udziela się z kolei rządzącym, a jeśli to nie wystarcza, występują na widownię bezrobotni. Tam, gdzie bezrobocia niema, wychodzą na ulicę robotnicy i protestują przeciw drożyźnie. Są to klasyczne, od dawna wypróbowane środki reżyserji finansowej, które znamy już na pamięć z własnego doświadczenia i które wszędzie służą do nastraszenia lub obalenia opornego rządu, a że w ustroju parlamentarnym ministrowie przebiegają przez scenę w tempie kinematograficznem, zrozumiała jest użyteczność tego systemu.

My Polacy możemy sobie powiedzieć na pociechę, że dawaliśmy widocznie dowody dużej wytrwałości, skoro widywaliśmy u siebie liczne i efektowne występy tego teatru, ale pamiętajmy, że repertuar jego bynajmniej nie jest jeszcze wyczerpany. Starajmy się tymczasam korzystać z doświadczeń tych krajów, gdzie gra trwa dłużej i dyplomacja finansowa ma dawniejsze sukcesy.

Gdy w maju 1924 objęła rządy we Francji nowa większość, która była gotowa do ugody z Anglją za wszelką cenę, zwycięzona opozycja uległa podobnym nastrojom, jakie obecnie widać u nas na prawicy. Najpierw z miną dość życzliwą oczekiwano rezultatów nowej polityki, a gdy nadzieje zawodziły, część prawicy uderzyła na alarm, reszta trzyma się na krawędzi między dwoma obozami, w imię interesów produkcji. Odtąd trwa namiętna walka między Francuzami w atmosferze rozgory-

czenia i nieufności i to jest sytuacja idealna dla współzawodników Francji, którzy atakują ją najskuteczniej od wewnątrz.

U nas, mimo spokojny przebieg Zgromadzenia Narodowego, choć prawica zdobyła się na duży wysiłek, żeby wrócić do stanu legalności, widać uporczywe usiłowania, żeby oba obozy polskie utrzymać w nastroju wzajemnej obawy i w całym kraju podniecać trwogę. Jednych straszy się rozpędzeniem Sejmu i jawną dyktaturą wojskową, w drugim obozie krążą głuche wieści to o nowych strzałach w Sulejówku, to o śladach śrótu, znalezionych pod ścianami dworka, to znowu o wylosowaniu dwu straceńców, którzy mają niebawem dokonać dwu zamachów.

Niema wprawdzie ani w mieście i w kraju, ani w gazetach i w rozmowach ani cienia podobieństwa z nastrojem tragicznych dni listopadowych r. 1922, ale kto nie obraca się między ludźmi i gazet nie czyta, zdany jest na przytomność swego otoczenia, które w paniczny sposób zatroskane jest o bezpieczeństwo jego osoby i domu. Żeby zaś zamierzony plan powiódł się w zupełności, również około osoby Prezydenta Rzplitej zaczynają już tworzyć nastrój zaklętego domu, w którym straszy. Intencje tej troskliwości są przejrzyste, a niektóre rezultaty już dokładnie i powszechnie wiadome. Zresztą metoda jest znana i na dworze petersburskim dawno wypróbowana. W ten sposób nie tylko izoluje się zagrożone osoby od całego świata, ale wykopuje się przepaść między gromadą wiernych, wiecznie zaniepokojonych, a resztą oficerów, urzędników i obywateli, manją prześladowczą nieogarniętych. Może najbardziej rozgorzałe głowy zadadzą sobie pytanie w chwili trzeźwości, w czyim to dzieje się interesie, żeby Polacy patrzyli wzajemnie na siebie jak na zbójców, gotowych do ataku z ukrycia, albo na gady, które tylko z tchórzostwa nie występują na front, wyczekując, żeby się znalazł kto inny.

Odznaczamy się dziwnie żywą wyobraźnią, dzięki której wierzy się u nas jednakowo wszystkiemu, co dość silnie do imaginacji przemawia, wskutek czego tak łatwo padamy ofiarą cudzej gry, obliczonej na naszą łatwowierność. Istnieje zbyt wielka nieufność polityczna między dwoma zwaśnionemi obozami, żeby ją zaostrzać jeszcze obawami osobistemi, zwłaszcza gdy niedorzeczność niektórych strachów i alarmów rzuca się sama w oczy.

Przed nowym Rządem piętrzą się te same trudności natury finansowej, o które potykali się jego poprzednicy: utrzymanie równowagi w budżecie państwowym i w bilansie płatniczym, podtrzymanie pieniądza, zatrudnienie bezrobotnych, a zjawia się nadto pokusa zaciągnięcia pożyczki na warunkach niebezpiecznych, która ułatwiłaby utrzymanie władzy w ręku przez kilka miesięcy i przeprowadzenie wyborów. Jasną jest rzeczą, że do tego celu nie prowadzi dyktatura wojskowa, a dzisiaj wiadomo już, że nawet zamaskowana dyktatura nie ułatwiłaby tego programu.

Jest to opinja u nas dość rozpowszechniona, ale fałszywa, że jakiś bankier, albo rząd obcy może wyciągnąć ze skarbca kilkadziesiąt miljonów dolarów i pożyczyć je rządowi polskiemu. Bankierzy nie zaangażują się w Polsce, póki nie będą mieli prawdopodobieństwa, że obligacje polskie będa na giełdach kupowane. Na własne ryzyko finansuje się takie imprezy jak Abd-el-Krima, podtrzymywanie zaś takich krajów, jak Polska, wymaga większych funduszów, których trzeba szukać nie w kasie jednego bankiera, lecz na rynku. Prawdopodobnie o tem już wiadomo, że kapitaliści obu światów nie lubią się angażować w takie interesy, jak dyktatura wojskowa.

Z tych samych powodów obawa przed wybuchem rewolucji komunistycznej jest dziś u nas mniej żywa, niż była przed Zgromadzeniem Narodowem. Na najbliższą przyszłość nikt nie obawia się obecnie zbrojnych zamachów komunistycznych. Ludzi rozważnych ogarnia natomiast obawa, że samowola administacyjna wywoła rozprzężenie i podkopie zaufanie między władzą a ludnością, a potem powodzenie ruchu komunistycznego zależałoby już tylko od zbiegu okoliczności. Obrona przed samowolą będzie też zarazem najskuteczniejszą walką z grożącą anarchją. Mimo to widmo rewolucji będzie ciągle zaglądało nam w oczy, pozycja Polski w świecie nie będzie bezpieczna, dopóki majestat prawa nie będzie przywrócony w sposób dla wszystkich widoczny, ale to jest sprawa wysiłku na dalszą metę. Wzmocnienie Sejmu, to jest zastąpienie dzisiejszej Izby Sejmem znacznie mocniejszym jest najpilniejszym punktem w tym programie.

BOLESŁAW BATOR

U WRÓT „WYZWOLENIA“

II

ZARÓDŹ tych myśli mieści się w w „Mężu“, w tej części fragmentu, gdzie poeta omawia rolę wodza narodu i staje się jego charakterystyką, która, bardzo podobna do tej, jaką Mickiewicz dał Człowiekowi Wiecznemu w kursach słowiańskich, jest w istocie ujęciem problemu wodzostwa w społeczeńtwie z innej strony. Mickiewicz każe wchłonąć swemu mężowi całą przeszłość narodu, przeszłość wielką i świętą i na niej widzieć wytyczne dla postępowania, Wyspiański zaś uważa za obowiązek Męża niezawisłość duchową, zdobycie się na własną, samodzielną myśl a przejęcie od przeciwnika, w którym jest także przeszłość, tego co jest godne myśli, duszy i inteligencji Męża; w dalszym ciągu zobaczymy, co właściwie znaczy dla Wyspiańskiego „myśl godna“ jego myśli. Wynik jednakże w obu wypadkach jest identyczny: dyktatura duchowa, którą rozpostrze Mąż i Konrad Wyspiańskiego nad współczesnością w ten sam sposób, w jaki rozpostarł ją Konrad Mickiewicza a miał nałożyć Człowiek Wieczny.

Ten rys dyktatorski psychiki Wyspiańskiego wystąpi jeszcze wyraźniej w słowach dalszych Męża. Jest on czemś bezwiednem dla poety, który w „Wyzwoleniu“ tak wyraźnie zaznaczył, że Polska nie wygląda człowieka wielkiego—ale idei, światła, które ją zbawi. A dalej: pragnąc zniweczyć zgubny wpływ przeszłości, Wyspiański nie może nie uznać, że przeszłość ta dała narodowi wskazania i idee wielkie, nie może zaprzeczyć potędze pragnień Konrada Mickiewiczowskiego, któremu przecież niedługo da nowy program działania. I dlatego, gdy Mąż mówi, że „powinien wziąć w siebie wszystko, co jest istotą mego przeciwnika i godnym się stać jego myśli i jego duszy i jego inteligencji“ to można przyjąć, iż myśli tu przedewszystkiem o ideologji przeszłości, trudno bowiem przypuścić aby za przeciwnika takiego uważał „lichą część narodu“, jak w „Wyzwoleniu“ nazwie partję przeciwną jego ideologji. Ale Wyspiański tę świętość przeciwnika określa bardzo ściśle i—ciasno: „nie znam nic w innych takiego i być nie może (=nic w innych takiego nie może być), coby

przeciwiło się temu, com ja za świętość przyjął". Temi słowy uwypukla się ten rys, który nazwałem dyktatorskim, duszy poety. To tylko jest święte, wielkie, słuszne u przeciwnika, co on, Wyspiański takiem uzna. Wszystko inne, sprzeczne z jego myślą, z jego planem nie przedstawia wartości. Żeby to stanowisko poety uplastycznić— popatrzmy na „Wyzwolenie": Konrad przynosi narodowi przekształcone po części te pierwiastki z ideologji Mickiewicza, które poeta uznał „świętością" — a nadto wzbogaca je własną myślą, genjusz reprezentuje to, co choć dla Mickiewicza żywego było najistotniejsze, jedynie wartościowe, Wyspiański określił mianem Harpji narodu i — skarykaryturował. Innemi słowy: Konrad jest rewelatorem Polski żywej, takiej jak inne narody — z usunięciem oszustwa narodowego, Genjusz objawia Polskę zaziemską, świętą, z „ducha poczętą".

W ten sposób ustaliwszy zasadę budowy przyszłości i już w ciągu dalszego rozwijania planu zmodyfikowawszy ją tak, że przyszłość ta uzależniona jest przedewszystkiem od wodza narodu, poeta rzutuje dalszy plan jej zrealizowania. Plan ten można ująć w następujące trzy punkty: 1) stronnictw przeciwnych i zwalczających się Mąż nie będzie łączyć i godzić, gdyż jest to niemożliwością 2) od ludzi nic więcej nie spodziewa się nad to, do czego są zdolni, na co zdobędzie się ich inteligencja, 3) stworzy stronnictwo, które zbierze w sobie „wszystkie zdolności osobne i wszystką inteligencję". Stronnictwem bowiem nie może być związek ludzi, posiadających tylko wspólne interesy i korzyści. Stronnictwo musi mieć więźbę intelektualną i duchową. Kto do stronnictwa męża nie będzie należał, kto zatem nie posiada kapitału inteligencji i talentu, stanie się przeciwnikiem, z którym liczyć się nie trzeba, jest bowiem „lichą częścią narodu" — ją „będziemy mieć do usług i rozporządzenia".

Z narysowania fizjognomji stronnictwa Męża staje się widne stanowisko społeczne Wyspiańskiego. Jest to— jeśli tak można nazwać — stanowisko socjalistyczno-arystokratyczne, boć do stronnictwa mogą należeć wszyscy— arystokraci ducha. A nigdzie tak dobitnie jak tutaj, stwierdzeniem, że wspólne interesy i korzyści nie mogą być spoidłem stronnictwa, nie potępił socjalizmu marxowskiego. Wyspiański najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że „partja" jego nosi w sobie znamiona arystokratyczne; więc też Przyjaciel mówi Mężowi: „Weź zważ tę olbrzymią różnicę wychowania — nie mówię już o różnicach wykształcenia, bo te mniej ulegają krytyce i nie łatwo dałyby się określić — ale wychowania różnice i różnice środowiska — to jest to, co musi stwarzać stronnictwa, różnicę jednego, drugiego, trzeciego i tak dalej". Więc Wyspiański swój pogląd precyzyje, wyjaśniając, że rozdział społeczeństwa według sądu Przyjaciela jest tworzeniem kast; wskutek „różnicy przyzwyczajeń" powstaje „kastowość", liczyć się jednak z nią niemożna, bo nie ujmuje ona istoty rzeczy. Nadewszystko — (i tu znów ton dyktatorski poety) — Mąż tej różnicy kast nie czuje, nie uznaje, niema ona dlań wartości.

Warto wniknąć bliżej w istotę podziału społeczeństwa przez Wyspiańskiego. Społeczeństwo ma dzielić się na dwa przeciwne sobie obozy; obozów tych łączyć ani godzić nie można, jest to bowiem bezcelowe, każdy z nich ma inne cele, inną ideologję—a nadewszystko inny poziom moralny i intelektualny. Pierwszy obóz tworzą ludzie o wysokiem i średniem wyrobieniu moralnem, którzy posiadają zasób wrodzonej inteligencji, oraz talent, a w życiu pracą i kształceniem się rozszerzają i rozwijają tę inteligencję i talent. Poczucie ich moralne odzywa się przedewszystkiem w tem, że nie chcą solidarności z lichą częścią narodu, że jest więc w nich duma, pochodząca z świadomości własnej wartości moralnej. Drugi obóz—przeciwny to te wszystkie męty społeczne, o których w „Wyzwoleniu" mówi się: „warchoły to wy!" Ten rozdział między obu obozami jest jednak pozorny. Choć Wyspiański wyraźnie mówi ustami Męża o tem, że o połączeniu stronnictw nie myśli, a dalej, że „nie będzie nigdy w sojuszu z człowiekiem obłudy lub nieuczciwością" — to przecież sam tworzy podział wedle „Jakóbowej drabiny", której szczeble ostatnie zajmą ludzie nieposiadający kapitału inteligencji i talentu. Nadto powiada w tym fragmencie, że „winien przeciwnikom swoim podawać rękę i dźwigać ich—„—ku celowi wspólnemu idąc" a w „Wyzwoleniu" doda, że partję przeciwną „będziemy mieć do usług i do rozporządzenia", „będzie w naszych rękach". Czyli stronnictwo przeciwne to ludzie, którzy nie mogą decydować w ustroju społecznym, którzy wpływu na ten ustrój mieć nie mogą—ale których trzeba opanować i prowadzić do— niezawisłości myśli. Opanować inteligencją i talentem. Zatem w społeczeństwie Wyspiańskiego inteligencja i talent są wszystkiem, brak ich czyni jednostkę bezwartościową—a dalej majątek i bogactwo i interesy materjalne są niczem.

Idźmyż dalej: celem społeczeństwa jest wyzwolenie się z pod wpływów, zyskanie niezawisłości myśli, wzniesienie się nad „szczyty". Dojść ku temu celowi można rozwojem inteligencji i talentu. Każdy, kto stoi ponad ostatniemi szczeblami „drabiny Jakóbowej", posiada pewną inteligencję, jakiś talent; rozwijać je musi, musi je kształcić — aż wzniesie się wyżej. Ale — i odtąd zaczyna się psuć teorja o niezawisłości duchowej — pocóż istnieją ludzie na szczeblach wyższych? Wyspiański o tem nie mówi. Można przypuścić, że mają oni obowiązek spełniać zadanie im wyznaczone, przedewszystkiem podniesienia siebie samych wyżej, ale można też przypuścić śmiało, że mając podawać rękę niżej stojącym (bo to wyraźnie zaznacza) muszą wywierać wpływ na ich myśl, na ich pojęcia, uczucia; w ten bowiem sposób jednostki z szczebli niższych—wejda na wyższe, lecz niezawisłość ich myśli zaszwankuje. Najważniejsze jednak, że u szczytu drabiny stoi mąż, który ma „prawo kierowania losem naszym i o p i n j ą i czynami", który stara się o zdobycie tego tonu, „który wspólność dać nam może". Więc niezawisłość myśli u innych na czemże polega? Jak już wyżej zaznaczyłem: na wyrzeknięciu się, na nieuznaniu innych „szczytów" po to, by uznać „szczyt" nowy: myśl Wyspiańskiego. Wyspiański w teorji swej tej niekonsekwencji nie widzi. Najwyraźniej powiada „zaczynam nie lekceważyć, ale pomijać zupełnie ludzi, których mam pod ręką", „was dosłownie niepotrzeba", „choćbym miał przeciwko sobie wszystkich wśród swoich, gotów jestem pójść za tą myślą, którą nakazuje mi moje sumienie".

Takie zakończenie teorji o niezawisłości myślowej wszystkich, (która, nawiasem dodając, doprowadziłaby do znanego *„quot capita, tot sensus")* dowodzi: 1) że w duszy Wyspiańskiego były te same pierwiastki żądne władzy nad duszami innych, co w psychice Mickiewicza, Słowackiego czy Krasińskiego, to samo przejęcie się wielkością i ważnością swej idei, co u nich. Teorja „drabiny Jakóbowej", po której społeczeństwo coraz wyżej wznosić się będzie — ale na której czele stać będzie Mąż, człowiek-przywódca, — to taka sama, jaka przepajała duszę Słowackiego, by „ducha ku Bogu podnosić, co wiek podwyższać twory jednym wschodem" — z tą różnicą, że u Wyspiańskiego jest „oczyszczona" z mistycyzmu, że Mąż jego — to nie mistyczny Król-Duch ale ziemski Król myśli. 2) Teorja ta wskazuje, że Wyspiański żądając „niezawisłości myśli" dla wszystkich — a potem tylko i jedynie dla siebie, dla tego Męża ją zachowując, czuje doskonale, że czar idei romantyków nad nim bardzo silnie ciąży, że ich idea jest kształci-

cielką jego myśli. Społeczeństwo „Wesela“ i „Wyzwolenia“ nie dlatego pozostaje pod wpływem „nastroju“, by tak istotnie było — ale Wyspiański przez pryzmat swej duszy na nie patrząc takiem je widzi. Dlatego też, gdy ułożył swój własny program socjalny, gdy ustanowił dla siebie rolę w społeczeństwie, gdy rozumem skonstatował, że myśl jego zdobyła cel i drogę do celu, nie mistyczne ale posiadające wartość dla życia na ziemi, czyli gdy poznał, że sam własną myślą i wolą zbudować może „Jeruzalem nową li za zmysłem oczu i za słuchaniem idąc“ — że zatem wyrwał się z pod czaru romantyków— zapomina o innych, lekceważy ich, usuwa—gotów pójść za własną myślą, za własną — jakże chwilową — niezawisłością myślową.

Bo ten Mąż Wyspiańskiego — to w gruncie rzeczy Konrad Mickiewiczowski, który przyjął na siebie wszystkie cierpienia narodu i spełni sam, bez społeczeństwa, jego misję. Kończąc fragment pisze Wyspiański:

„O Bogu daną prawdę na się bierze
ocali naród w Prawdzie tej i Wierze“.

Ta sama pewność ocalenia narodu, co u Mickiewicza, ta sama pewność ważności rewelacji własnej i przeświadczenie o swej misji realizatora. Spotyka się u Wyspiańskiego niemal co krok ten znamienny rys: ilekroć jakiejś idei, którą intelekt jego stworzył, zawierzył, zapominał o zasadzie, dla której ją stworzył, zapominał o wyzwoleniu narodu z pod rzekomego wpływu romantycznego — a wtedy w duszy jego wybuchały irracjonalne pierwiastki romantyczne. Tak było w „Kazimierzu Wielkim“, tak będzie w „Wyzwoleniu“ i „Akropolis“. A może nigdzie z taką siłą nieodezwała się jego dusza romantycznego metafizyka jak w II. akcie „Wyzwolenia“, gdy po wycieniowaniu myśli, których zarodkiem „Mąż“— wypłynęła nagła, nieoczekiwana modlitwa przed żłobkiem o... „Polskę objawienia“.

Ale wróćmy do podziału społeczeństwa. Społeczeństwo podzielone według wartości moralnej i intelektualnej a przypominające o tyle rzeczpospolitą platońską, że najwyższe talenty, więc poeci, filozofowie, artyści, — u szczytu stać będą, — nie uznaje różnic wychowania, srodowiska bo te decydują o istnieniu kast. Gdyby ktoś miał ochotę mógłby takie ujęcie zakwestjonować. Dla Wyspiańskiego było ono bardzo ważne, było decydujące, bo pozwoliło mu rozwinąć ideologję społeczną. Ale patrząc na tę sprawę ze stanowiska krytyki literackiej podkreślić trzeba co innego: bezwzględną, apodyktyczną formę. Wyspiański wyraźnie mowi: tylko wtedy można spełnić zadanie, można osiągnąć cel, jeżeli według moich kryterjów patrzeć się będzie na społeczeństwo. Tylko wtedy można myśleć o wyzwoleniu i patrzeć serjo w przyszłość, gdy moje zasady wprowadzi się w życie. Ten apodyktyczny ton, ta pewność jednej wartości ujęcia problemu społecznego zadziwia. Znamy je: to ton i pewność epoki romantycznej, to poczucie Słowackiego: albo lud pójdzie za mną i będzie zbawiony, albo w twe mgliste drogi, Mickiewiczu, — i zginie; to ton Mickiewicza i Towiańskiego i Krasińskiego; to pewność St. Simona, Lamennais'go a nadewszystko Hoene-Wrońskiego, który od przyjęcia doktryny swego mesjanizmu i to przyjęcia tak zupełnego, że nietylko życie, ale wiedza, nauka musi być zreformowana, uzależniał przyszłość świata. Wyspiański, mając ich pewność o wartości swej teorji dla zbawienia Polski (inne narody go nie obchodzą) ma też ich pewność o ważności własnej misji. I chociaż fundament jej kładzie na najbliższych „parę staj lat“, i chociaż mówi, że naród nie na niego czeka, ale na jego światło, słowo, ideę — przecież wie, że gdyby nie on, Wyspiański, — światła tego naródby nie otrzymał. Jemu właśnie dał Bóg misję nietylko rewelatora ale i realizatora — nowej epoki w życiu narodu.

Ale Wyspiański prócz zarysu przyszłego ustroju społecznego, który stanie się kośćcem dla społecznej ideologji „Wyzwolenia“, daje już w „Mężu“ konkretną formę niektórym myślom. I tak żądaniem, by tylko godni należeli do jego stronnictwa, przeciwstawia się pragnieniu mesjanistów połączenia wszystkich w imię ojczyzny, pragnieniu, które może najwyraźniej Mickiewicz wyrzekł w „Księgach“ — by zasiewać zgodę i miłość Rzplitej, by łączyć się w jedno stronnictwo, które się zowie: Polska. Tutaj, w „Mężu“, znaleść można wytłumaczenie niezrozumiałego hasła w „Wyzwoleniu“, hasła nienawiści. Konrad przynosi nienawiść tego, co jest „tam“, co jest poza ziemią, ale tą nienawiścią obrzuca on również wszystko, co jest przeciwne jego myśli. Jest to nienawiść ku ciemięscom ducha, genjuszom czy bożyszczom, ku udawaniu polskości, marzeniu o czynach zbawczych, których kosztem wolność Polski przepada, jest to nienawiść wreszcie ku wszystkiemu, co małe i liche. Jak w „Piaście“ żąda poeta rzezi—*katarsis*, w którejby p o d ł o ś ć P o l s k i się obmyła, tak z przeciwstawienia się nauce mesjanicznej o łączności i zgodzie wszystkich, wypłynie pragnienie nienawiści — *katarsis*, nienawiści wszystkiego co liche, bo przez nią Polska obmyje się na duchu. W ten sposób ujmując sprawę każe poeta przerwać dotychczasowe związki z tem, co nazywa „podłością“, aby potem, gdy każdy pójdzie naprzód, silniejszy „o półkroka“ — zwrócić się do tej podłości i ją szlachetnić.

Jest jednak Wyspiański nietylko społecznikiem-moralizatorem. Umie on głęboko wniknąć w duszę człowieka i społeczeństwa. Wie on, że choć człowiek z motyką radby się porwał na słońce, nikt od niego wymagać tego nie ma prawa, wie, że choć najwyższym wzorem dla ludzkości jest Chrystus, nie wszyscy mogą być Chrystusem. I dlatego powiada, że „od blizkich sobie i najbliższych niczego spodziewać się nie mam prawa—do czego oni nie są zdolni sami“. Wyspiański nie mówi nawet o wszystkich, nie mówi o „średniej inteligencji“, tylko o bliskich i najbliższych, o tych, którzy zajęli najwyższe miejsce w „drabinie Jakóbowej“. Więc jeżeli żądał „niezawisłości myślowej“—po swojemu pojętej—od wszystkich, widocznie wiedział, że wszyscy są zdolni do tego wysiłku. Do czego innego nie są zdolne nawet najbliżej Wyspiańskiego stojące istoty: do życia na miarę Konrada. W „Wyzwoleniu“ ograniczy poeta swój postulat do *minimum*: Polak powinien b y ć; powinien być Polakiem i na tem koniec — ale o Polsce „nie gadać“ „nie filozofować“. Co znaczy być Polakiem już nie jeden raz mówił — a chyba najpiękniej w „Weselu“, gdy poeta uczył Pannę Młodą, że serce „a to Polska właśnie“. Znając człowieka wiedział, że idea mesjanizmu: żywot na wzór Chrystusa, jest nie na miarę ludzką i jest dla istoty życia zabójcza. A mesjanizm nietylko jednostce ale całemu narodowi kazał być Chrystusem; kazał żyć i cierpieć „dla innych, dla cudzego wyzysku“. To właśnie było żądanie nad miarę; od ludzi można wymagać tyle— ile są zdolni uczynić sami. Ten postulat jest widocznem przeciwstawieniem idei mesjanicznej; żądanie mesjanistów: Polska — Chrystusem narodów — nie liczyło się z „otoczeniem“ — przerastało zdolności człowiecze. Dlatego Wyspiański redukuje program dla życia; zdobywanie moralności, inteligencji i talentu oraz rozwijanie ich według zasobów danych człowiekowi. Dlatego też pod wpływem helleńskiego piękna będąc — wzniesie w „Wyzwoleniu“ a potem w „Akropolis“ wzór nowy dla życia ludzi: Chrystusa—Apollina.

STANISŁAW KOLBUSZEWSKI

LIBERUM VETO

Rokosz i jego bohater.

KALEJDOSKOPOWY szereg nieoczekiwanych i niezrozumiałych zdarzeń jest najjaskrawszym dowodem, do jakiego stopnia nasze życie polityczno-społeczne jest nieuporządkowane, jak dalece ono się splata z niespodzianek i jak łatwo śmiała jednostka może je potargać. Już chyba nie dziwimy się, że zagranica nam nie ufa, bo nie wie, co u nas jutro się stanie, skoro my sami nie wiemy. To, na co patrzyliśmy w ostatnich tygodniach, sprawia wrażenie jakiejś dziwnej kombinacji niepowiązanych z sobą przypadków, jakichś dziwacznych syllogizmów, w których wnioski przeczą przesłankom, jakiegoś łańcucha przyczyn bez skutków i skutków bez przyczyn, jakiegoś alfabetu ze zmienioną koleją liter, czegoś, co się w żadnym zdrowym rozsądku nie zmieści. Gdy p. Piłsudski wszedł z wojskiem do stolicy, stoczył z jej garnizonem zaciekłą bitwę, w której zabitych i rannych zginęło około półtora tysiąca żołnierzy, rozpędził rząd, usunął Prezydenta Rzeczypospolitej, uwięził dowódców wojskowych, którzy mu się oparli, przeprowadził zmianę ministrów i urzędników na wysokich stanowiskach, to jego dawni towarzysze partyjni przypuszczali, że on rozpali rewolucję socjalną. Nic podobnego. Oświadczył wyraźnie, że wcale nie myśli zmieniać obecnego ustroju państwa, tylko chce dokonać w niem dezynfekcji moralnej. Zdawało się, że objąwszy z tem godłem i rozszerzywszy do najszerszych granic dyktatury najwyższą władzę, dokona tego „oczyszczenia". Znowu nic podobnego. Wybrany głosami nie tylko przyjaciół, ale częściowo i przeciwników Prezydentem Rzeczypospolitej, zrzekł się tej godności. Więc po co to wszystko się stało, po co wylało się tyle bratniej krwi i wywołało się tyle zamętu? Po co ten tak wielki rozmach dużym mieczem, że za słaby dla niego rycerz zamiast ciąć, przewrócił się?

Na te pytania daje nam zupełnie jasną odpowiedź natura umysłu p. Piłsudskiego. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że jest to charakter czysty, opryskany jedynie krwią jako bojowiec socjalistyczny a obecnie rokoszanin, że idzie prostą i krzywą drogą do szlachetnych celów, że dobrze i źle czyni z dobrą wolą i szczerą wiarą, że jest materjalnie bezinteresowny, ofiarny i w czynie dzielny. Ale ma on dwie wady, które mu nie pozwalają ani spożytkować swojej wielkiej siły, ani oddać ojczyźnie tych usług, do jakich jest rzeczywiście zdolny: szczupły krąg wiedzy politycznej i chorobliwa zarozumiałość. Pierwsza uwydatnia się w niemocy twórczej, druga w samochwalstwie posuwającem się aż do śmieszności. Trudna byłoby znaleźć drugi przykład pomyślnego składu warunków, jak ten, w którym p. Piłsudski zajął stanowisko Naczelnika Państwa. Miał w swem rozporządzeniu ubóstwiającą go armję, ufność prawie całego narodu, zewsząd otaczał go szacunek, uwielbienie i zachwyt, mógł zostać dyktatorem, nieledwie monarchą, mógł według swej woli zorganizować państwo, a jakże skorzystał z tych nadzwyczajnych uprawnień, wszechwładzy, popularności i sławy? „Postawił na baczność" swego oficera o małej inteligencji a wielkiem posłuszeństwie i kazał mu tworzyć rząd, który popełnił rzeczywiście wszystko, na co tylko rozmachana bezmyślność partyjna zdobyć się umie. P. Piłsudski mógł powołać najlepszy sejm ustawodawczy, jaki ze społeczeństwa polskiego da się wydobyć: nie zrobił tego. Mógł oddziałać na pierwsze uchwały prawodawcze w kierunku wskazanym przez interes narodu — nie zrobił tego. Wogóle nie zrobił nic, co było potrzebne dla wzniesienia budowy państwa, tylko składał i rozkładał łamigłówkę gabinetów ministerjalnych. Zachował się zaś tak nie dlatego, żeby nie miał chęci i energji, ale dlatego, że nie jest umysłem twórczym, że nie posiada ani wiedzy, ani zdolności politycznej. Posiada tylko pragnienie dokonywania czynów nadzwyczajnych, żądzę nieograniczonej władzy, wielką odwagę i nałogi konspiratorskie, których nigdy się nie pozbędzie, bo one zbyt głęboko wkorzeniły się w jego naturę, nie ma żadnego planu działania, jest ciągle improwizatorem, spiskowcem, wogóle— jak sam się nazwał „wściekłym ryzykantem". Opanowany chorobliwą manją wielkości, przypominającej chyba tylko mniemanie Nerona, który uważał się za największego artystę, rozjątrzony nieproporcjonalnością swych małych czynów politycznych do wielkiej ambicji, nie dostrzega w sobie wad i słabości, lecz spycha swoje niepowodzenia na współpracowników i cały naród. Wciąż „zmaga się" z Polską, widzi w niej gromadę tchórzów, dygocących od „żółtego strachu" przed nieprzyjacielem, od którego on ją tylko uwolnił, szajki złodziejów, rabusiów i wszelakiego rodzaju nikczemników, którzy udaremnili jego zamiary. Gdyby to mówił ograniczony w swych prawach aż do zupełnego bezwładu b. prezydent Wojciechowski — rozumielibyśmy; ale gdy to mówi jawny i tajemny dyktator, rządzący nawet wtedy, kiedy nie rządzi, który w swojej naturze ma pragnienie a w oddanem mu wojsku siłę samowładztwa, to jest to tylko z pajęczej przędzy tkana sofistyka. Nie glina była winna, że z niej ulepiona została potworna figura, ale ręce, które nie umiały nadać jej pięknego kształtu. P. Piłsudski może ma słuszność, że państwo Polskie stało się łupem „szujów", że kanalja gospodarowała w niem bezkarnie, że nasze ciała prawodawcze chorowały na gangrenę moralną, ale kto otworzył szeroko drzwi do Sejmu i Senatu ciemnocie i podłości, a kto je zamknął rozumowi i uczciwości? Ci właśnie, którzy „męża opatrznościowego" najwyżej podrzucają w górę. Jeżeli w państwie Polskiem utworzyło się bagno, to ono conajmniej zajmuje tyle przestrzeni po lewej, co po prawej stronie. Dlaczego więc żaby i gady w błocie lewicy skrzeczeniem i sykiem chóralnym sławią p. Piłsudskiego jako tego, który ma wyszlamować owo bagno, zwłaszcza gdy dawniej grabieżą a dziś kłamstwem i oszczerstwem znacznie je rozszerzają ze swojej strony? P. Piłsudski mógłby mieć osobiście pewne prawo do cenzorstwa moralnego, ale jego rzesza nie ma żadnego. Jeżeli on jest słońcem, to krążące około niego ciałka są w znacznej mierze ciemnemi gwiazdami. Jeżeli zaś chce gardzić, to niech przedewszystkiem wyleje potok słów obelżywych z bliższej odległości, zwłaszcza, że chce się unosić nad partjami. Ale on opętany obłędem swej wielkości, jak wszyscy dotknięci tą manją, potrzebuje właśnie jednostek kornych, uległych, niewolniczych, a takiemi są zwykle charaktery słabe lub zepsute. Obok siebie on mocnych i niepodległych nie postawi, bo one krępowałyby jego samowolę.

Dlaczego odmówił przyjęcia godności Prezydenta i do jakiego celu dążył w swym rokoszu, wyjaśnił w liście do marszałka sejmu: 1) „nie może wydobyć z siebie aktu zaufania ani do siebie w tej pracy, którą już raz czynił, ani też do tych, co go na ten urząd powołują"; 2) „nie potrafi żyć bez pracy bezpośredniej, gdy konstytucja taką właśnie pracę odsuwa od prezydenta". Innemi słowy: p. Piłsudski pragnie być nie formalnym, ale faktycznym dyktatorem, na co mu pozwala będąca w jego rozporządzeniu armja. Chce rządzić bez ograniczeń i bez odpowiedzialności. Porównano go z Mussolinim, ma on jednak z wielkim Włochem dwa punkty wspólne: śmiałość i lekceważenie parlamentu, brak mu zaś dwu przymiotów najważniejszych: wiary w naród i programu działania twórczego.

Może niektórzy czytelnicy przypominają sobie jeden z niedawnych moich feljetonów, w którym wykazywałem, że obecne położenie państwa musi się zakończyć jakimś zamachem stanu. Dokonany rokosz był zjawiskiem naturalnem. Nazwano go nieprawnym i niemoralnym. Określenie to nie jest ściste. Dopóki p. Piłsudski ze zbuntowanem wojskiem atakował Warszawę, toczył bratobójczą walkę i rozpostarł terror, postępował nieprawnie. Ale z chwilą gdy stanął obok niego marszałek sejmu, jako najwyższy przedstawiciel narodu i członek stronnictwa, z którego wyszedł prezes obalonego rządu; nadto gdy rokoszanin wybrany został prezydentem Rzeczypospolitej przy współudziale tegoż stronnictwa, czyn p. Piłsudskiego został zupełnie uprawniony bez względu na to, czy za nim oświadczyli się nawróceni przeciwnicy z przekonania, czy ze strachu przed „batem", którym p. Piłsudski kilkrakrotnie groził w swych przemówieniach. Inną sprawą jest ocena moralna, niezależna ani od bata, ani od strachu, ani od uchwał partyjnych, ani od zdobycia Warszawy. Ale czy to dziś można odważać ludzi i ich czyny na szalach etyki, która jest najbardziej sponiewieranym trybunałem.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

UKRYTE DŹWIGNIE

CHCIAŁOBY się wierzyć, że decyzje tak ważkie, jak wywołanie krwawej wojny domowej, nie mogą mieć za usprawiedliwienie wewnętrzne dążności innej, jak przeprowadzenie wielkich, zasadniczych zmian w kierunku polityki państwowej, zmian, rokujących państwu nieomylnie znaczne powodzenia. Wyobraźmy więc sobie, że zamach majowy nie napotkałby w społeczeństwie, władzy i wojsku poważniejszego oporu, lecz uwieńczyłby się natychmiast zagarnięciem pełnej w państwie władzy. Jakieby zapowiadała zmiany polityka nowych rządów, izolowana od korektury opozycji?

Wiadomo, że polityka nasza, mimo zmienności rządów, odeszła już jednak od znanych wahań orjentacyjnych i wytworzyła jednolitą linję: wzmacniania naszego stanowiska w sojuszu z członkami dawnej Ententy i w opozycji do niezmiennie wrogiej nam polityki niemieckiej, pragnącej osaczyć nas przez współdziałanie z Rosją sowiecką, czemu ostatnio dał wyraz dobitny traktat Berliński.

Również i w zakresie naszej polityki wewnętrznej da się dostrzedz jedną, ustaloną od czasu odzyzkania niepodległości wspólną wytyczną: wytworzenia możliwie ścisłej spójni obywateli. Celowi temu służyła unifikacja kraju, i niewątpliwie, mimo wielu błędnych kroków na tej drodze, wewnętrzne zrastanie się duchowe Państwa stale postępowało naprzód.

Nowe rządy na tej linji państwowej, mozolnie i systematycznie prowadzonej, musiały przedewszystkiem z natury rzeczy uczynić olbrzymi krok wstecz, ku punktom wyjścia, rozpoczynając *da capo*: od zabiegów o posłuch w kraju, o uznanie zagranicy. Sam przez się zamach stanu nie mógł nie być nadwyrężeniem i uszkodzeniem poważnem utrwalającej się wewnątrz państwa równowagi i spójni społecznej, dając przewagę tym czy innym interesom i wyobrażeniom, a wywołując naturalne przeciwstawianie się pozostałych. Z drugiej zaś strony naraził je na szwank przez swoją szczególną niepopularność na najbardziej dziś zagrożonym froncie zachodnim: w Poznańskiem, na Śląsku i Pomorzu.

Przez jakie jednak zamierzenia konstrukcyjne te szkody niewątpliwe miałyby być zrekompensowane?

Czytając organ teoretyczny ruchu: „Drogę", na to kardynalne, o obliczu moralnem obozu decydujące pytanie nie znajdujemy wcale jednolitej odpowiedzi programowej. Są tam artykuły Studnickiego oraz Wadeka, nawracające do orjentacji niemieckiej i polecone przez redakcję jako poszukiwanie „nowych dróg" dla państwa,— w postaci naiwnych zamierzeń udzielenia Niemcom naszego moralnego poparcia na ich innych frontach: nieśmiertelny Zagłoba ofiaruje im Alzację, Trentino i Karolove Vary — za odwrócenie uwagi od naszej granicy. Są tam i inne artykuły, wyrażające tęsknotę do wspólnego z Sowietami przeciwstawienia się Polski naciskowi sprzymierzeńców zachodnich i zdobycie tą drogą wśród nich powagi usamodzielnionego czynnika politycznego. Najszersze zaś państwu horyzonty wykreśla w artykułach „Drogi" p. Hołówko: np. popieranie Abd-El-Krima, niewiedzieć zresztą w jakim związku konkretnym z naszemi sprawami. Pisze nadto „Droga" i o czynnem, zapewne więc zbrojnem poparciu przez Polskę niepodległości Ukrainy, Białejrusi, a widać przy sposobności również Gruzji i Turkiestanu. Oryginalnym celem tej wojny miałoby być utracenie przez nas kresów na rzecz nowotworów państwowych, o których tak trudno stwierdzić, czy chcą powstać i czy zdolne są się utrwalić.

Ogólną cechą tego programu czy raczej programów jest, jak widzimy, eksperymentalizm. A ściślej mówiąc eksperymentalizm w kierunku obojętnym, byle przeciwstawnym do wyżłobionej już linji państwowej: zaiste „poszukiwanie dróg". Nie należy wątpić, że po udaniu się odpowiednich operacyj, gdyby pacjent nie umarł, Riffeni oraz Kirgizi odwdzięczą się nam raczej platonicznie, natomiast Sowiety czy Niemcy wyciągnęłyby z naszego oderwania się od związków dotychczasowych wnioski zgoła odmienne od spodziewanych. Np. Niemcy skorzystaliby niewątpliwie nie z naszej oferty, dotyczącej Alzacji albo Trentino, lecz z oburzenia na nas tą ofertą opinji francuskiej i włoskiej, któraby im dała możność bezkarnie dokonać amputacji na tej granicy, o którą najwięcej Niemcom chodzi, na Śląsku, w Wielkopolsce i na Pomorzu...

Jest rzeczywiście zdumiewające, jak w łonie jednego kierunku, na łamach jednego pisma nawet, wypowiadane są tak różne, tak całkiem sprzeczne ze sobą, poglądy: sojusz z Niemcami, sojusz z Rosją, wojną z tąż Rosją. Czy to bezprogramowość, co po przejściu rozmaitych doświadczeń zechce napewno nawrócić do odzyskiwania naszego dotychczasowego stanowiska politycznego? Czy też te tak różne projekty łączy jedna ręka, której zależy, byśmy osłabili—mniejsza o to, jakim konkretnym sposobem—wzmacniające nas związki i swoje wśród nich stanowisko oraz dobre imię? Komu zależy na tem, byśmy niszczyli naszą spójnię wewnętrzną, rozbrat biorąc zwłaszcza i właśnie z dzielnicą zachodnią?

Miałby niewątpliwe usprwiedliwienie silny i czynny odruch Polski na traktat Berliński, w byt jej godzący. Ale rokosz, jakiego byliśmy świadkami, stanowi logiczne następstwo tegoż traktatu w innej zgoła płaszczyźnie. Obojętne, czy świadomie czy też nieświadomie, w każdym razie bezpośrednio po porozumieniu niemiecko-sowieckiem następuje w Polsce ruch, powodujący rozluźnienie jej spójni wewnętrznej i deklarujący rozluźnienie związków zewnętrznych. Po traktacie Berlińskim, historycznie rzecz biorąc, logiczną konsekwencją staje się wywołany u nas ruch, w którym objektywnie Polska pozostaje stroną bierną.

Nie. Aktywną. Niedziw zaś, że tej aktywności wyraz dała krwi własnej upustem ta przedewszystkiem dzielnica, która na plany owej sprzeczne programy rozkładowe jednoczącej ręki szczególnie jest wrażliwa i w walce z nią o swą polskość i przyszłość Polski jednocześnie oddawna zahartowana.

W. W.

ODRODZENIE MORALNE

Gdzie p o j ę ć brak—ludzkiemu rozumieniu wystarczą s ł o w a dźwięk, chociażby pusty... *Mefisto.*

DZIWNIE się powtarzają frazesów metody. Na sumienia ludzkie, poruszone do dna zbrodnią—leje się słowa mętne, górnobrzmiące, pozornie na uspokojenie, a raczej na podniecenie mas bezmyślnych obliczone: ognie sztuczne z piwnic tajnych tryskające. Zbolałym duszom polskim rzuca się hasło „odrodzenia moralnego"... Czyż te sowy z nocnych konwektyklów sądzą, że nikt nie pamięta, co w chwilach załamania się duszy narodowej, duszy tej tragicznego rozdwojenia — podawali społeczeństwu francuskiemu tacyż sami *„vènèrables"*, jako morfinę moralną za czasów Dreyfusa?

Stary frazes, sekciarstwem podziemnem nadęty, raz jeszcze ma w sposób „czcigodny" uśpić rodaków sumienia...

Zawsze ci sami. Nic się nie zmienili.

Pamiętam, w młodości z pewnem rozczuleniem patrzyłem na pamiątki masońskie po swym pradziadku, z czasów Łukasińskiego. Wówczas obiecywali wskrzesić Polskę w imię „wolności powszechnej". Uwierzono im.

Dziś głoszą „odrodzenie moralne", oraz „oczyszczenie atmosfery"... przez opary krwi bratniej. Któż im uwierzy?

Jakież to dziwnie zdarte, wyłachmanione frazesy? *Un vieux cliché maçonnique.*

JAN TUR

PSEUDOROMANTYZM

PONAD wszystkie bóle, które przeżyły serca polskie w czasie przewrotu, najgłębszy był ten, który się wyrażał we współczuciu dla oficerów naszej armji.

Pociągnięci w imię karności i kultu osobistego do czynów, które na całem życiu ich zaciążą, znaleźli się w pozycji, z której nie mają nic do powiedzenia żywym: na co uczynili z siebie stos ofiarny? Po wyborze Piłsudskiego na prezydenta, wyszli na ulicę między ludowe pochody, a doprowadzeni na placu Saskim do miejsca pod Sztabem, gdzie grób Nieznanego Żołnierza, a z drugiej strony tyłem odwrócony posąg Poniatowskiego, słuchali mowy gen. Góreckiego. A ten, zwracając się od jednej w drugą stronę, mówił:

„Marszałku Poniatowski! Melduję, Pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski, o b j ą ł z woli Narodu najwyższą władzę Rzeczypospolitej Polskiej".

„Nieznany Żołnierzu Polski! Przybyliśmy zwiastować Ci wielką wieść o Polsce. Człowiek, który Cię do boju n a ś m i e r ć prowadził, który krwią swoją znaczył granice Rzeczypospolitej, otrzymał z woli Narodu najwyższą władzę Rzeczypospolitej. Wybacz, że sen Twój wieczny przerwiemy okrzykiem: „Niech żyje Pierwszy Marszałek Rzeczypospolitej Józef Piłsudski!"

Oddziały wiernych Strzelców z orkiestrą pod dowództwem płk. B. Wieniawy Długoszewskiego udały się na cmentarz wojskowy, a tam płk. Wyrostek przemówił do grobów:

„Koledzy, towarzysze broni, którzy spoczywacie w tych grobach. Darujcie, żeśmy tutaj przyszli zamącić Wasz spokój wieczny, lecz przyszliśmy zameldować, że krew Wasza nie darmo została przelana. Ziścił się dziś wielki dla Polski czyn: Marszałek Piłsudski otrzymał z rąk Zgromadzenia Narodowego zwierzchnią władzę w Rzeczypospolitej. Nad Waszemi grobami przysięgamy, że koła historji, które potoczył dla najwyższego dobra Rzeczypospolitej Marszałek Piłsudski, nie damy skierować w inną stronę. Śpijcie w spokoju i błogosławcie nas w dalsza drogę".

Czy warto mnożyć groby, aby zmarłych budzić i składać im nieścisłe meldunki? W tej potrzebie rozmów z duchami zmarłych trudno się niedopatrzeć zgryzot sumienia, a potem nieszczęsnego pseudo-romantyzmu, który jeszcze przed wojną zabijał w młodzieży myśl o rzeczy, kazał im do lustra pozować, a na wojnę iść nie z hasłem zwycięstwa, ale śmierci. Ten pierwiastek martyrologiczny do dziś pozostał. Czyn warszawski wydaje się im wielki dlatego, że wielką ilość ofiar pociągnął. Na rzecz samą patrzą jak przez sen: „ziścił się wielki dla Polski czyn"... Darmo pytać, co Polska zyskała. Śpijcie w spokoju snem hypnotycznym!

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Przewlekłe przesilenie — Nowy rząd — Wszystko tak, jak było — Reformy czy „pełnomocnictwa"?

CAŁY tydzień minął od chwili wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej Mościckiego do chwili mianowania przezeń nowego rządu, mającego zastąpić rząd tymczasowy prof. Bartla i rozpocząć wreszcie szumnie zapowiadane dzieło reformy. Tydzień czasu — okres dość długi, zwłaszcza jeśli się zważy okoliczności, w jakich obecny rząd był tworzony, bez udziału Sejmu, przy pełnej swobodzie decyzji ze strony Prezydenta Rzplitej i... ministra spraw wojskowych. Porozumiewano się, naradzano się, rozważano...

Zdaje się, iż to właśnie dość przewlekłe przesilenie gabinetowe było powodem, że na temat nowego rządu zaczęły pojawiać się — zwłaszcza w prasie sprzyjającej obozowi zamachu — rozmaite, często sprzeczne ze sobą pogłoski. Szczególnie uporczywie powtarzały się wieści o licznym jakoby udziale w nowym gabinecie konserwatystów krakowskich, co tembardziej wydawało się prawdopodobne, że oni jedni, z pośród grup popierających politykę marsz. Piłsudskiego, mają konkretny program dość daleko posuniętych reform ustrojowych. Socjaliści i t. zw. „radykalni inteligenci" naogół zadowoleni byli z obecnego brzmienia Konstytucji i próby zmiany zwalczali dotąd energicznie jako „reakcyjne zamachy na Demokrację". Nie jest przypadkiem, że typowy przedstawiciel „radykalnej inteligencji", minister sprawiedliwości Makowski, na czoło reform, jakie mają być obecnie dokonane, wysunął właśnie postulat „uzgodnienia istniejących ustaw z Konstytucją".

Dekrety nominacyjne nowego rządu okazały złudność szerzonych pogłosek i zapowiedzi. Rząd tymczasowy p. Bartla pozostał niemal w całości u władzy, wprowadzono tylko dwie zmiany: ministrem przemysłu i handlu został wicedyrektor fabryki Chorzów, inż. Eugenjusz Kwiatkowski, ministrem skarbu — inż. Czesław Klarner, b. wiceminister skarbu w gabinecie Władysława Grabskiego. Słowem rząd byłych ministrów i wicemistrów, uzupełniony trzema nieznanymi dotychczas w życiu politycznem inżynierami. I to ma być rząd „przełomu", rząd wprowadzający Rzplitą na „nowe tory"? Dziwnie żywo staje w pamięci gabinet p. Juljana Nowaka z r. 1922. I wtedy także gabinet ów był wyrazem triumfu, jaki Naczelnik Państwa Piłsudski odniósł nad Sejmem po dłu-

giem, dwumiesięcznem przesileniu. Czyż po to tylko przeżywaliśmy hańbę i klęskę wojny domowej, aby raz jeszcze powracać do znanych oddawna metod i systemów?

Polska potrzebuje rzeczywistej, gruntownej naprawy ustroju politycznego i gospodarczego. Rząd większości sejmowej, obalony przez przewrót majowy, powstał właśna podstawie wspólnego programu reformy. W dziedzinie zagadnień ustrojowych program reformy obejmował przedewszystkiem zmianę ordynacji wyborczej dla zapewnienia Sejmowi i Senatowi sprawnej działalności i niewątpliwego charakteru polskiego, zmniejszenie liczby posłów i senatorów, wreszcie zmianę Konstytucji, wzmacniającą władzę Prezydenta przez nadanie mu prawa rozwiązywania Izb ustawodawczych. Jak dotychczas, tylko ostatni punkt tego programu otwarcie podjęty został przez obóz, który doszedł do władzy, najważniejsza natomiast sprawa zmiany ordynacji wyborczej wciąż jeszcze pozostaje w mgłach niejasności i niedomówień. Zdaje się iż jest wyraźna tendencja, aby hasło „reformy", wymagające jasnego, określonego programu, zastąpić wygodniejszem znacznie hasłem „pełnomocnictw", wymagających tylko... zaufania.

W każdym razie mamy wreszcie nowy rząd i wiemy, jak straszliwą cenę zapłaciła Polska za jego powstanie. Czy program rządu p. Bartla choć w części cenę tę usprawiedliwi?

IGN.

NAUKA I LITERATURA

DWIE ANTOLOGJE

W ROKU bieżącym upływa sto lat od pierwszego wydania „Sonetów" Adama Mickiewicza. Rocznicę tę uświetniła „Bibljoteka Narodowa" wydaniem antologji sonetów polskich od najdawniejszych czasów aż po dobę niemal dzisiejszą, bo do chwili wybuchu wojny europejskiej. Antologja ta nosi tytuł „Sonet polski" [1]), a została opracowana przez świetnego romanistę, prof. Uniw. Jagiell. d-ra Władysława Folkierkiego.

Słusznie powierzono tę rzecz romaniście, boć przecie w krajach romańskich sonet bierze początek, tam się rozwinął i udoskonalił, tam też — od Dantego i Petrarki do D'Annunzia i de Heredii — miał zawsze najwięcej zwolenników, niekiedy nawet genjalnych. Nierozstrzygnięty jest spór, czy kolebką jego były Włochy czy Prowawsalja — obecnie większość uczonych przechyla się na stronę Włoch; wątpliwości też budzi kwestja, czy przypisać mu pochodzenie ludowe czy literackie. Wszystkie te kwestje omawia w gruntownym wstępie prof. Folkierski, poczem zajmuje się wersyfikacyjną i estetyczną stroną sonetu, przytaczając poglądy i teorje wielu estetów i badaczy obcych, z naszych zaś przedewszystkiem prof. Łosia. W dziejach sonetu uwzględnia jedynie Włochy i Francję, niesłusznie omijając sonecistów angielskich i niemieckich; można to usprawiedliwić okolicznością, że Włochy w XIII w. i Francja w XVI w. ustaliły dwa najważniejsze, najbardziej zasadnicze typy sonetu, które długo były jedynemi w polskiej literaturze sonetowej, zanim — dopiero na schyłku w. XIX — i u nas nie zaczęto obmyślać nowych form sonetu.

Najobszerniej omówiono sonety staropolskie — od Kochanowskiego do Przybylskiego. Wydawca oparł się tu na obfitej literaturze krytycznej (z Porębowiczem na czele), a także na własnych badaniach i pracach, dotyczących zwłaszcza Kochanowskiego. Z tego okresu podano w antologji wszystkie sonety, jakie się zachowały; z XIX i XX w. podano tylko wybór. Szkoda że zupełnie pominięto sonety „erotyczne" Mickiewicza; są przecież wśród nich i wspaniałe, jak np. „Rezygnacja" lub „Ekskuza"! Na uwagę zasługują przypomniane przez prof. Folkierskiego sonety H. Kajsiewicza, a zwłaszcza J. N. Kamińskiego — oryginalne i wcale piękne. Ciekawe są też — nawet ze względów formalnych — mało dotychczas znane sonety A. Fredry. Należne uznanie oddaje również prof. Folkierski sonetom tatrzańskim niedocenionego poety, Franc. Nowickiego; szkoda że dla porównania z niemi nie zamieścił sonetów tatrzańskich Asnyka i z całej puścizny asnykowej podał jedynie cykl „Nad głębinami", który w „Bibl. Narodowej" był już raz szczegółowo opracowany przez E. Kucharskiego.

Wśród nowszych sonetów pierwsze miejsce słusznie przyznano dwu poetom: Janowi Kasprowiczowi i L. Staffowi. Pierwszy z nich jest największym, obok Mickiewicza, mistrzem sonetu w Polsce, a bodaj że największym wirtuozem sonetu w literaturze światowej, bo stworzył ogromną ilość nowych i niebywałych form sonetowych, a w każdą z nich tchnął inną treść, — czasem taką która po raz pierwszy w tej pojawiła się postaci (np. sonety chłopskie). Wirtuozami i poszukiwaczami nowych odmian sonetu byli i tacy poeci, jak Przesmycki, Lemański, Tetmajer, Żuławski, Zawistowska, Wyrzykowski, którzy wprowadzali bądź rymy męskie, bądź inny układ rymów (ba zwrotek!) bądź różne kombinacje rymów, rozmaitą ilość zgłosek i t. p. Największą osobliwością jest sonet „jednozgłoskowy" (tak!) Józefa Jankowskiego. Kończą rzecz całą „sonety o sonecie"; możnaby do nich dorzucić jeszcze piękny „Sonet o sonecie" J. A. Gałuszki. Do zastępu poetów, reprezentowanych w antologji, możnaby jeszcze kilku dodać, np. Miłaszewskiego, który przecież należy do największych mistrzów sonetu polskiego (cykl „Shakespeare" w „Geście wewnętrznym" 1911). Niestety wzgląd na rozmiary książki często krępował wydawcę, który niekiedy nawet sądy swoje (zwłaszcza o poetach nowych) musiał wyrażać krótko, jakby od niechcenia [2]). Całość jednak, jest bardzo sumienna i wartościowa, o wiele lepsza od „Księgi sonetu" wydanej niegdyś przez A. Langego.

Natomiast ani sumienną ani wartościową nie można nazwać „Autologji współczesnej poezji polskiej" [3]) jaką wydał znany poeta, Edward Słoński. W przedmowie pełnej wytartych i pompatycznych frazesów powiada on, że „Młoda Polska należy już do przeszłości"; stwierdzenie tego faktu nie przeszkadza mu jednak zapowiadać, że w książce, noszącej tytuł „Antologja współczesnej poezji", zamieści „najbardziej charakterystyczne utwory" właśnie z okresu Młodej Polski. Żeby przynajmniej dotrzymał obietnicy! Ale, po pierwsze, zamieścił tu utwory poetów nie mających nic wspólnego nietylko z Młodą Polską, ale nawet ze wskrzeszeniem Polski — (które Młodej Polsce przypisuje p. Słoński!) — utwory poetów takich, jak Tuwim i Słonimski; czyż i oni, zdaniem p. S., należą... do przeszłości? A przytem, nie wszystkie utwory, zawarte w zbiorku pana Słońskiego, zasługują na nazwę „najbardziej charakterystycznych" — chyba że wydawca chciał ukazać najbardziej charakterystyczne wady tego okresu poezji, bo obok poetów umieścił i wiele grafomanów, jak naprz. Al. Szczęsnego (?) Wogóle o za-

[1]) Sonet polski, wybór tekstów, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył Władysław Folkierski, prof. Uniw. Jagiellońskiego. Bibl. Narodowa, Serja I. Nr. 82. Kraków. Nakładem Krak. Sp. Wyd.

[2]) Czy nie należało z jednego tomika zrobić — trzech, z których jeden obejmowałby sonety staropolskie, drugi romantyków, trzeci późniejsze? Wtedy możnaby z czasem dodać do nich jeszcze jeden „powojenny", jaki radzi wydać prof. Folkierski.

[3]) „Antologja współczesnej poezji polskiej", zebrał i wstępem opatrzył Edward Słoński. „Bibljoteka domu polskiego" 1926.

mieszczaniu w antologji decydowały, zdaje się, osobiste sympatje p. Słońskiego, stosuneczki koleżeńskie lub partyjne; pomyśleć sobie, że trzeciorzędnym poetom dano niemal tyle miejsca, co — Kasprowiczowi!... Wogóle książka cała zbudowana jest na zasadach „szczerej demokracji“, bo wszystkich autorów — małych i wielkich, żyjących i umarłych, dawnych i dzisiejszych — ustawiono w ordynku alfabetycznym, jak rekrutów na liście żołdu, co więcej, choć przy każdym podano „rocznik“ tj. datę urodzenia (często błędną!), to niezawsze notowano datę zgonu, tak iż możnaby pomyśleć, że Małaczewski, Miciński, Niemojewski, Żuławski jeszcze żyją. Tekst utworów często wypaczony i poprzekręcany, wybór conajmniej fantastyczny, co dziwić musi tembardziej, że sam p. Słoński nie okazał nigdy zawiele fantazji tam, gdzie jest ona na miejscu — we własnej poezji.

JÓZEF BIRKENMAJER

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W Krakowie ukazał się pierwszy numer tygodnika „Trybuna Narodu“. Niewielkich rozmiarów, o cenie przystępnej (20 groszy egzemplarz) tygodnik ten w szeregu krótkich, mocnych, znakomicie pisanych artykułów oświetla obecną sytuację, karcąc surowo panoszącą się obłudę i nieprawość. W pierwszym numerze pisali między innymi: Karol Hubert Rostworowski, Wacław Sobieski, Władysław Konopczyński, Tad. Bielecki, Kl. Hrabyk, B. Wolski. Jako redaktor odpowiedzialny podpisuje pismo p. Felicjan Gadomski.

Adres Redakcji: Kraków, ul. Zyblikiewicza 5. Administracja: Kraków, Rynek Gł. Szara Kamienica I p.

*

Dwaj profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego, których nazwiska są szeroko znane w świecie naukowym, wystąpili świeżo z enuncjacjami... politycznemi. Prof. Wincenty Lutosławski wydał oto książkę p. t. „Tajemnica powszechnego dobrobytu“, gdzie pomiędzy innemi napada na wszelkie partje (str. 132), doradzając jedynie wybieranie ludzi bezpartyjnych (jak gdyby grono ludzi, zrzeszonych dla agitacji za takim bezpartyjnym, nie było znów partją). Następnie doradza prof. L. jednomyślne rozstrzyganie wszelkich spraw politycznych, oraz akcentuje doniosłość kwalifikacyj umysłowych i moralnych na posła (str. 72). O wartości społecznej i fachowej kandydatów nic nie mówi.

Drugi profesor tegoż Uniwersytetu, Marjan Zdziechowski, świeżo wystąpił na łamach monarchistycznego „Słowa“ z enuncjacją w sprawie krwawych wypadków, które co dopiero przeżyliśmy. I tu się powtarza stały refren prof. Z. o nacjonalizmie, który jest „rodzonym bratem komunizmu“, o „hańbie“ traktatu ryskiego, oraz wskazywań na jedynego człowieka, który może nas wyzwolić „z tyranji Witosa i Bryla“.

Zwrot obydwóch panów profesorów do polityki jest charakterystycznem *signum temporis*. Czytając takie wystąpienia, inteligentny ogół może rychlej zrozumie, że do zabierania głosu w zakresie spraw politycznych potrzebna jest kompetencja, że polityka jest sztuką i umiejętnością, oraz że w niej, tak jak w nauce, wszelki dylatantyzm jest szkodliwy.

U SŁOWIAN

Wyszedł z druku piąty (majowy) numer miesięcznika praskiego poświęconego Łużycom *„Cesko-Luzicky Vestnik“*. Zawiera on w języku dolnołużyckim pisany sonet W. Serb-Chejnicańskiego, następnie artykuł o Fr. Palackim. Kronika życia Serbów łużyckich podaje wiadomości o pracach Macierzy serbskiej w Budziszynie i o szkolnictwie łuż.. (przyczem ciekawe jest wyliczenie, że w okręgu budziszyńskim jest zaledwie pięć łużyckich szkół, w innych częściach Łużyc ani jednej), wreszcie o śmierci znanego poety ludowego Jana Hajncy. Następnie szereg sprawozdań i ładna nowelka M. Biedricha, w końcu wiadomość, że wydające to pisemko „T-wo czesko-łużyckie im. Ad. Cernego“ w Pradze mianowało swymi korespondentami szereg Polaków: prof. uniw. warsz. W. Porzezińskiego i J. Szerudę, nadto pp. J. Dicksteinównę i J. Giertycha z Warszawy, oraz H. Batowskiego ze Lwowa.

*

Ukazała się w Moskwie ciekawa monografja o Puszkinie. Jest to praca N. Aszubina p. t. *„Żiwoj Puszkin“* wydana przez wyd. *„Sowremennaja Rossija“*. Jest to nader udatna próba nakreślenia sylwetki wielkiego poety w jego prywatnem życiu, na podstawie korespondencji oraz współczesnych pamiętników itp. źródeł.

NA MARGINESIE

Komisarjat rządu m. Warszawy, w którym istnieje wydział cenzury obyczajowej, widocznie nie ma nic pilniejszego do roboty jak śledzenie „Myśli Narodowej“, jako groźnej dla ładu społecznego i obyczaju. Dwa razy cenzura ta zarządziła konfiskatę, ponieważ nie podobały się jej poglądy tego organu. Zapowiadano z wysokiego urzędu ministra spraw wewn., że gdy akcja wojskowa ustała, konfiskaty już nie będzie. Wpadamy więc w zasadzkę. Powtóre nie znamy bliżej urzędników tego wydziału, coby im zrobić mogło przyjemność, więc trudno nam treść zastosować do ich gustu. Możeby jednak wystarczyły rękojmia moralna; pp. Wasilewski, Świętochowski i in. pracują w piśmiennictwie polskiem już dość dawno i nigdy nie dali dowodu, że są Polsce nieżyczliwi, albo, że psują obyczaje. Byli zawsze sami cenzorami opinji, zanim dzisiejsi urzędnicy nauczyli się czytać i rozumieć, co to jest życie narodu i państwa. Wreszcie i ta uwaga, że „Myśl Narodowa“ przeznaczona jest dla sfer z wyższem wyrobieniem duchowem i rokoszem nie grozi. Szkoda, że cenzura nie broni ulicy od zdziczenia. Warszawa się marnuje w zbrodni i rozpuście, uprawianej przez koncesjonowane przedsiębiorstwa prasowe i widowiskowe.

*

Niepotrzebnie społeczeństwo przeraziło się przewrotem i martwiło złym stanem spraw państwa. Pokazuje się, że stan jest zupełnie dobry i że nawet rząd nie ma wiele do roboty, skoro kierownik jego mógł spokojnie wyjechać na kilka dni z Warszawy i prowadzić w szkole egzaminy. Jedyny ratunek dla państwa — dobry mechanik.

*

Żargonowy *„Poleser Togblat“* (str. 53) tak chwali sobie obecnego ministra spraw wewnętrznych p. Młodzianowskiego:

„Nominację wojewody poleskiego, p. Młodzianowskiego, na ministra spraw wewnętrznych w nowym gabinecie przyjęła ludność tutejsza z zadowoleniem...

Co się tyczy sprawy obywatelstwa, będącej dla ludności żydowskiej poprostu kwestją życia — to p. wojewoda wykazał wielkie zrozumienie i dzięki jego zarządzeniom sprawa została rozstrzygnięta pozytywnie dla ludności żydowskiej...“

A więc sprawa nadawania obywatelstwa polskiego Żydom kresowym rozstrzygnięta została przez p. Młodzianowskiego „pozytywnie dla ludności żydowskiej“... Treść istotna „przewrotu moralnego“ zarysowywuje się coraz jaśniej, coraz wyraźniej...

*

„Słowo“, organ monarchistów wileńskich, zamieszcza (nr. 139) patetyczny artykuł wstępny, wzywający „ogół konserwatywny, ziemiaństwo“ do podjęcia czynnej akcji politycznej przy boku marszałka Piłsudskiego. Nawiązując do tradycyjnej lojalności Stańczyków krakowskich w okresie niewoli, autor artykułu kończy swe rozważania słowami: ...ogół konserwatywny powinien teraz wymówić formułę, która niegdyś wypowiedziana była w sposób bardzo niepopularny, a tak przecież w skutkach swoich dobroczynny: „Panie Marszałku, przy Tobie stoimy, przy Tobie stać chcemy“.

W obozie „przewrotu moralnego“ coraz więcej widzimy ludzi tego typu, co b. namiestnik Galicji Michał Bobrzyński; były prezes N. K. N. Wł. L. Jaworski, były poseł austrjacki w Sofji Adam hr. Tarnowski... Czy ci ludzie są wcieleniem tej „słonecznej, upojnej wiosny“, którą po „burzy majowej“ zapowiadali entuzjaści zamachu?

*

Instytut mesjaniczny w Warszawie złożył Marszałkowi Sejmu i Prezesowi Rady ministrów memorjał o konieczności utworzenia „Ciała Kierowniczego“. Ludzie dzielą się na dwa typy: uczuciowy i poznawczy, na prawicę i lewicę. Te dwie ideologje nie dadzą się sprzymierzyć. Rozwiązanie tej antynomji jest możliwe przez utożsamienie Prawdy i Dobra. Ponieważ narazie nie da się to osiągnąć, a walka między temi grupami może zniszczyć społeczeństwo, uciekając się do przemocy fizycznej, przeto winna powstać nowa władza — Ciało Kierownicze. Ciało to „oceniając i powodując poświęcenie się dla spraw państwowych i ogólno ludzkich pod przewodem praw wyższych, nada wielki styl całemu życiu państwowemu“. Autorem tej koncepcji w duchu Hoene-Wrońskiego jak p. Chomicz. Ale co będzie, gdy to Ciało zostanie opanowane zbrojnie przez „Typ uczuciowy“?

*

W r. 1842 pisał w „Wieczorach Pielgrzyma“ Stefan Witwicki: „Gdyby nam i dziś Pan Bóg miłosierny ojczyznę wskrzesił i znowu ją postawił wielką i niepodległą, to aby napowrót poszła w nieszczęścia i jarzmo, wiecież czego potrzeba? Oto dosyć, aby się w mózgach polskich zostało choć jedno z owych fatalnych wyobrażeń; oto dosyć, abyśmy do Polski wrócili z manją konfederowania się. Za kilka lat byłyby w niej konfederacje, za lat kilkanaście kontrkonfederacje, za lat kilkadziesiąt byłby w niej napowrót Moskal i Niemiec“.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM